

ale wszystkie moje poszukiwania nie doprowadziły do niczego.

– Bo może były źle skierowane?

– Czy ja wiem! Teraz odstąpiłem już od nich, bo straciłem wszelką nadzieję.

Lopez ujął żywo jego rękę i uściśnął ją silnie.

– Co znowu! – rzekł nakazującym głosem – Nie wolno panu odstępować od tego, co jest pana świętym obowiązkiem. Niech mi pan pozwoli działać na własną rękę, dobrze? Ta sprawa interesuje mnie bardzo. Żyjemy w dwudziestym wieku, do diabła, i ludzie nie mogą zniknąć z powierzchni ziemi jak za czasów teroru. Zobacz pan, że wkrótce uda mi się rozjaśnić tę tajemnicę.

– Szkoda pana czasu i trudów! – zauważył Frank.

– Zobaczymy.

– Zbrodniarze byli zręczni i stali się wszechwładnymi.

Lopez uśmiechnął się ironicznie.

– Tylko ludzie o żelaznej woli są wszechwładnymi! – odpowiedział stanowczo – Czy chce pan mi zaufać?

– Pan już wiele uczynił dla mnie – rzekł Frank, podając mu rękę, a nie wiem dotąd, czemu mam zawdzięczać zainteresowanie się pana moją osobą...

– Czy jest to odmowa?

– Nie, wcale nie.

– Cóż więc pana czyni tak oględnym?

– Coś, czego sobie wytłumaczyć nie umiem.

– Niech pan będzie szczery ze mną, panie Frank, dobrze?

– Już nie pierwszy raz jestem szczery, i lękam się dołknąć pana.

– To źle, kochany doktorze. Stanowisko moje ochrania mnie przed banalnymi podejrzeniami. Jestem w wieku ojca pana i może pan do mnie mówić, jak syn rodzony.

W słowach tych brzmiał szczególny ton serdecznej dobroci, która wzruszyła Franka.

– Ależ kłóż pan jesteś przez litość! – wyszeptał.

– Co panu na tem zależy?

– To trudne do uwierzenia, jak dziwnie jestem zmieszany wobec pana!

– Ach! Co znowu! Niech się pan nie lęka tego wrażenia, kochany doktorze! Mam nadzieję, że znajomość nasza przedłuży się i będzie pan miał czas ocenić mnie według swojej woli. Na początek proszę odpowiedzieć, bez zastrzeżeń, na pytanie, które postawiłem przed chwilą.

– Jakie pytanie?

– Czy pan już zapomniał?

– Tyle wrażeń wzburzyło mój umysł dziś rano. – tłumaczył się Frank.

– A więc, powtarzam raz jeszcze. Czy chce mi pan zaufać, czy chce mi pan powierzyć zemstę swoją?

Frank zawahał się chwilę, poczem wznosił na swojego towarzysza spojrzenie, w którym przebijała się szlachetność i prawość.

– Dobrze! – rzekł – Służąc moim sprawom, pracuje pan może dla swoich własnych. Ale w tem wszystkiemu tkwi jakaś fatalność i wierzę, że przypadek nie dla błahych powodów postawił pana na mojej drodze.

– Tak, powinien pan w to wierzyć. – wymówił z naciskiem Lopez.

– Niechże więc pan działa według swojej woli.

– Pan mnie do tego upoważnia?

– Z całego serca.

W godzinę później powóz, uwożący dwóch nowych sprzymierzeńców, zatrzymał się przed domem zamieszkanym przez Franka.

W chwili, kiedy młody lekarz wysiadł, chłopiec jakiś podbiegł do niego i wręczył mu list.

Frank otworzył go szybko i zaledwie przebiegł oczyma zapisany bilecik, kiedy pogardliwy uśmiech pojawił się na jego ustach.

– Cóż to jest? – zapytał Lopez.

– Zaproszenie na dzisiejszy wieczór na bal maskowy, mający się odbyć w gmachu Opery.

– Pójdzie pan? – zapytał Lopez uśmiechając się.

– Po co? – odparł Frank obojętnie.

– Znajdzie pan sposobność do rozerwania się.

– A jeżeli to jest jaka mistyfikacja?

– Jeżeli pan chce, to chętnie towarzyszyć panu będę.

– Naprawdę?

– Jestem do usług pana.

– A więc przyjmuję.

– Zatem, do widzenia dziś wieczór.

– Do widzenia.

Bal Opery.

Około godziny dwunastej w nocy, Frank w towarzystwie Lopeza zdążył ulicą Le Peletier.

Wokoło gmachu Opery stał zbity tłum ciekawych, przypatrując się szeregom powozów wiozących gości.

Pośród oślepiającego światła bijącego od lamp gęsto rozstawionych przesuwali się różnokolorowe maski, nawołując się, popychając, zaczepiając wzajemnie.

Gorączkowe życie, pełne lekkomyślnej swobody i niedbałości, wrzało tu w całej pełni. Zdawało się, że na wszystkie umysły padł prąd nieokiełzanego szału i wprowadził je w jakiś stan nienaturalnego podniecenia, graniczący z utratą przytomności.

Frank po raz pierwszy w życiu znajdował się na balu Opery. Złut dotąd w odosobnieniu i samotności, zaabsorbowany intensywną pracą, nie zdając się domyślać, że poza smutnymi ścianami swojej mansardy istnieje może inne życie – życie wesołości i zabawy.

Kiedy przestąpił próg teatru i wszedł po schodach, przystrojonych kwiatami i kolorowymi lampami, na górne piętra, zdumiony został w pierwszej chwili tą duszną, podniecającą atmosferą, która buchnęła na niego całą falą, oszalałając go w sposób niezwykły.

Bogactwo światła, ruch nieustanny, delikatny szelest sukien i zapach buchający od nich, wszystko to wywołało w spokojnym, normalnym jego organizmie szczególne wrażenie, któremu się oprzeć nawet nie usiłował.

Lopez szedł obok niego spokojny i zimny, patrząc obojętnie wokoło, zdając się nie widzieć wyzywających spojrzeń i uśmiechów, których nie szczędziły im zamaskowane kobiety. A przecież również po raz pierwszy był świadkiem balu maskowego w operze paryskiej i Frank zdumiony był jego pewnością siebie i swobodą, z jaką sobie torował drogę w tym tłumie rozbawionym.

Po jakimś czasie Frank uczuł się zmęczonym gwarem wzrastającym wokoło i chciał odejść już, będąc pewny, że bilecik, jaki odebrał, ukrywał w sobie jakąś mistyfikację.

Ale Lopez usiłował go powstrzymać.

– Po co zostawać tu dłużej. – bronił się Frank – Ten hałas denerwuje mnie niesłychanie. Potrzebuję odechnąć świeżym powietrzem.

– Poczekajmy jeszcze. – upierał się Lopez.

– W jakim celu?

– Zobaczyłem kogoś znajomego.

– Kogo?

– Młodego Gaudin.

– Narzeczonego Sylwii?

– Jego właśnie. Zdziwiony pan jest jego obecnością tutaj?

– Zapewniel! Przecież przed kilkoma godzinami Sylwia znajdowała się w wielkim niebezpieczeństwie życia... i skoro ma wkrótce zostać jego żoną.

– To i cóż z tego?

– Ależ to oburzające!

– Pan jest zanadto surowym, kochany doktorze. – odparł Lopez uśmiechając się. – Młody Gaudin nie wychodzi wcale z roli, którą sobie obrał. Przychodzi tu zapewne pożegnać wesoło swoje kawalerskie życie. Muszę z nim pomówić.

– Cóż pana skłania do tego? – zapytał młody doktor niechętnie.

– Choćby to, że pragnę uwolnić pana od jego osoby.

– Czy sądzi pan, że nas spostrzeżę?

– Jeżeli nas jeszcze nie spostrzeżę, to stać się to może w każdej chwili, a mógłby nam przeszkodzić.

– Więc wierzy pan jeszcze w istnienie tajemniczej osoby, od której otrzymałem zaproszenie?

– Oczywiście. Być może, że ta osoba już tu jest i czeka tylko na chwilę, abym pozostawił pana samego.

– Jaki optymista z pana! Przecież ja tu nie znam nikogo w Paryżu.

– I to właśnie intryguje mnie najwięcej. Gdyby było inaczej, nie byłoby tajemnicy. A tak, rzecz przedstawia się dosyć ciekawie. Nikogo pan nie zna, a otrzymuje pan zaproszenie na

bal do Opery. To powinno być przez nas dobrze zgłębione. Życzę panu dobrej zabawy.

– Nie mogę się tem samem panu odwzajemnić.

– Eh! Poradzę sobie jakoś z tym młodym człowiekiem. Będę z nim rozmawiał o gieldzie i wyścigach i porozumiemy się doskonale.

Zaledwie Lopez oddalił się, pozostawiając Franka samego, kiedy domino jakies oderwało się od tłumy i stając tuż obok niego, wsunęło mu delikatnie rękę pod ramię.

Frank odwrócił się żywo.

– Jest pan punktualnym – rzekło domino – i dziękuję panu za to.

– Więc to pani mnie zawezwała tutaj? – zapytał młody lekarz ze zdziwieniem.

– Tak, to ja.

– A już sądziłem, że ktoś zażartował sobie ze mnie.

– Dlaczego?

– Tak niewiele mam znajomości w Paryżu.

– Ale ja pana znam i to mi wystarczyło.

– Zapewne, ale w jakim celu ta tajemnica? – zapytał Frank.

– To było potrzebne. Dowie się pan o tem później.

– Dobrze. Przyjmuję ten warunek i skoro jesteśmy sami...

Domino uśmiechnęło się, pokazując dwa rzędy zębów olśniewającej białości i zgrabną ręką ukazało tłum otaczający ich.

– Mam do pomówienia, a nie chcę wtajemniczyć w naszą rozmowę tych wszystkich ludzi. Zmienimy miejsce.

– Jak pani sobie życzy – odparł Frank, silnie zaintrygowany.

– Nie zabiorę panu wiele czasu i zanim godzina upłynie, będzie pan mógł powrócić do swoich przyjaciół.

– Do moich przyjaciół?

– Oczywiście. Czy nie jest pan przyjacielem pana Lopeza, a pan Gaudin czy nie pragnie zostać pańskim przyjacielem jak najprędzej?

– Więc pani go zna?

– Doskonale.

I młoda kobieta, nie czekając na przyzwolenie swojego towarzysza, pociągnęła go szybko do pobliskiej pustej łoży.

Frank mógł teraz dokładnie przypatrzeć się nieznajomej. Jej ręce drobne, głos delikatny i dźwięczny, jak również jej chód zgrabny i lekki wskazywały, że musiała być bardzo młodą. Usta jej świeże, wyglądające z poza koronki czarnej maski, miały w uśmiechu wdzięk naiwności i słodczy. Urok bijący od całej jej postaci nie mógł Franka pozostawić obojętnym. Zapytywał się, co mogło skłonić tę młodą dziewczynę do hazardowania się samej wśród nocy w ten tłum, gdzie czyhało na nią tyle niebezpieczeństw nieuniknionych.

Przejęty nagle współczuciem i zainteresowaniem, ujął nagłym ruchem jej rękę w swoje dionie.

– A więc pani pragnie ze mną pomówić, moje dziecko? – zapytał głosem, w którym przebijało się lekkie wzruszenie. – Nie uwierzy pani, jak bardzo ciekawość moja jest obudzona w tej chwili i chciałbym dowiedzieć się, jakiemu szczęśliwemu trafowi zawdzięczam przyjemność poznania pani i dlaczego obudziłem jej zainteresowanie.

Domino potrząsnęło łagodnie głową.

– Nie jest to trafen. Zainteresowanie się moje panem datuje się oddawna już i chociaż pan nie zna mnie wcale, ja pana znam od jego przybycia do Paryża i mogłabym opowiedzieć pana życie z najdrobniejszymi szczegółami.

– Czy to możliwe! – zawołał Frank ze zdumieniem.

– Życie pana pozornie nie miało w sobie zresztą nic ukrytego – ciągnęła dalej młoda dziewczyna – i kto by pana widział pochylonego w nocy nad książką, pracującego nierzadko rano, ten nie byłby się domyślił tajemnicy ukrytej w sercu pana, ani strasznego celu, który sprowadził pana do Paryża.

Frank na te słowa nie mógł opanować drżenia.

– Więc jakże – zawołał – pani wie?...!

– Wiem wszystko – odparło domino. – I koniec tragiczny ojca pana i może nawet nazwiska morderców jego.

– Co pani mówi!

– Szczera prawdę.

(Ciąg dalszy nastąpi.)